



## Fragment „Nad Niemnem” Elizy Orzeszkowej dla klas II

### Narodowe Czytanie 2023

„Justyna pomiędzy leszczyną stanęła i naprzód pochylona patrzyła przez chwilę na utopioną w liściach i kwiatach krynicę. Za nią przystanął Anzelm i z brodą opartą na dłoni przesuwiał wzrok dokoła. Cierpiące jego oczy były teraz bardzo pogodne, z żartobliwym uśmiechem wymówił z wolna:

Luby wietrzyk trawę pieści,

Strumyk mruczy, liść szeleści...

Było to niewyraźne echo, przynoszące mu z odległej młodości urywek na wpół zapomnianego wiersza. Zaraz przecież zaczął iść dalej, a raczej wspinać się na górę, po naturalnie wyżłobionych, korzeniami drzew i wrosłymi w ziemię kamieniami najeżonych wschodach. Szedł powoli, z przygarbionymi plecami i z widoczną trudnością, ale Jan, torując sobie drogę wśród gęstych krzewów, dopomagał mu do przebycia miejsc najtrudniejszych. Dla wejścia na stromą górę nie potrzebował on wschodów. Wysoka i kształtna jego postać kołysała się w obie strony, jakby w wesołym i triumfującym poczuciu swej siły. Czasem zniknął zupełnie w wysokiej zarośli lub ukazywała się z niej tylko głowa jego małą czapką ocieniona i ramię w białym rękawie, troskliwie wyciągające się ku staremu. W pamięci Justyny błysnęło wspomnienie. Widziała już tych dwóch ludzi w ten sam sposób wstępujących na wysoki brzeg Niemna; wtedy jeden z nich przystawał czasem i twarzą zwracał się ku otwartemu oknu, w którym ona stała. Ale to przypomnienie błyskawicą tylko przemknęło jej przez głowę; zatrzymała się i z ciekawością patrzyła dokoła siebie.

Znajdowali się w miejscu o kilka stóp zaledwie oddalonym od szczytu góry, na łagodnym skłonie, który tworzył małą, nieco spadzistą równinę. Trzeba było tylko trochę wzrok podnieść, aby zobaczyć ruchomą frędzlę zboża rosnącego nad samym brzegiem parowu. U końca cienistej i w nierówne wschody powyszczerbianej alei, którą wspięli się aż tutaj, leżał olbrzymi kamień, pełen wgłębień i wypukłości, za



siedzenia służyć mogących, miejscami siwym i brunatnym mchem obrosły, a miejscami zwieńczony gibkimi gałęziami ożyn i rozchodników. Kilka cienkich sosen z szerokimi u góry koronami i rozłożysta grusza z gęstwiną drobnych liści wyrastały tam z ziemi pokrytej rzadką trawą i osypanej igłami sosen. Pod sosnami i gruszą coś czerwieniało, błękitniało i bieląło: trzeba było wejść pomiędzy drzewa, aby rozpoznać, że to grobowiec.

Był to grobowiec bardzo prosty i ubogi, ale takiego kształtu i w taki sposób przyozdobiony, że aby móc podobny mu zobaczyć, trzeba by cofnąć się wstecz o kilka wieków. Składał się on z sześciokątnego, grubego u podstaw a zwężającego się ku szczytowi krzyża, na którego czerwonym tle białała postać Chrystusa, a którego boki pokryte były różnobarwnymi godłami i figurami. Były tam białym pokostem powleczone i ściśle do krzyża przylegające trupy głowy i różne narzędzia Chrystusowej męki, płaskie popiersie Marii z tkwiącymi w nim siedmioma połączanymi niegdyś i w kształt miecza wyrzeźbionymi strzałami, wsparte na rękach i w zamyśleniu na podstawach z drzewa lub gliny siedzące wypukłe figury świętych. Z chudości tych figur, ze szkieletowej długości ich członków, z okaleczeń, którymi czas zatarł rysy ich twarzy, poznać można było smak i robotę odległych czasów. Krzyż był tak spróchniały, że rychłym upadkiem groził, ale rozpięta na nim postać Chrystusa i boki jego okrywające figurę, przez czas okaleczone, ze spłowiałymi barwami i pozłotami, zachowywały niezłamane główne zarysy swe i cechy. Osłaniał je i od zupełnego zniszczenia chronił rozpięty u szczytu gontowy daszek. Na szerokiej podstawie krzyża białał wyraźny jeszcze, choć miejscami zacierający się już napis:

JAN I CECYLIA, ROK 1549

*memento mori*

Tylko nazwiska nie było tam żadnego. Z bezimiennego tego grobowca, osłoniętego przed światem ścianą nadniemeńskiego parowu, przeszło trzy wieki patrzyły na przepaść zieloną z warczącą w głębi krynica, na olbrzymi i cały w mchach swych i wiankach leżący kamień, na wielki trójkąt Niemna, odsłonięty tu przez wyginające się w tył ściany przepaści i stojący w tej cichej pogodzie szybą błękitu i srebra. Za nieruchomą, zda się, rzeką wielką, samotna tarcza słoneczna wisiła nad



samym już szczytem boru i tak go światłem swym przenikała, że żółte pnie sosen wyraźnie oddzielały się wzajem od siebie pod ciemnym pokryciem koron stojąc nieprzejrzanymi szeregami.

Teraz ciszę tu panującą przerywać począł monotony szmer hebla, przesuwanego się po leżącej na ziemi i do połowy już obrobionej kłodzie drzewa. Anzelm wielką czapkę swą zdjął przed grobowcem, ale wnet znowu głowę nakrył i w milczeniu, z nasępionymi brwiami, pogrążył się w swej robocie. Powoli i jakby automatycznie, nieprzerwanie przecież, długa i blada jego ręka przesuwała narzędzie po powierzchni drzewa. Krzyż próchniejący, który pierwsze jesienne wiatry obalić mogły, musiał być zastąpiony przez inny. Kilkadziesiąt lat temu taką samą robotę spełnił zgrzybiały dziś i na wpół obłąkany Jakub. Teraz jemu przypadło w udziale stróżować nad tą pamiątką, drogą zapewne licznym pokoleniom, skoro z nich każde znalazło wśród siebie kogoś, kto jej z powierzchni ziemi zniknąć nie pozwolił. Nowy krzyż okryją stare godła, krótki napis wyraźniej zabieleje na czerwonej podstawie grobowca i wszystko tu znowu będzie tak samo, jak było przed trzema przeszło wiekami, jak było w tej porze dalekiej, gdy dwoje jakichś ludzi o nieznanym nazwiskach i dziejach złożono w jednej mogile.

Justyna wpatrywała się w stary grobowiec i w pamięci jej uparcie powtarzać się zaczęła strofa pieśni, którą niedawno uniesiona wspomnieniem wydeklamowała przed nią Marta:

A gdy kto przyjdzie albo przyjedzie

Pomyśli sobie:

Złączona para, złączona para

Leży w tym grobie!

Jan i Cecylia! Czy kochali się oni? Czy świat ich rozłączał, a połączyła mogiła? Jak żyli? I dlaczego, gdy umarli, tak na długo, na wieki, pozostali w sercach i pamięci ludzi?



O parę kroków od niej na obalonym pniu sosny siedział Jan i uśmiechał się w pół filuternie, w pół tajemniczo.

— Stryj wie wszystko — zaczął — i bardzo lubi historię tę opowiadać. Trzeba go tylko pięknie poprosić... opowie.

— Było to w starych czasach, w sto lat albo może jeszcze i mniej po tem, jak litewski naród przyjął świętą chrześcijańską wiarę, kiedy w te strony przyszła para ludzi. Niewiadomego oni byli nazwiska, niewiadomej kondycji i to tylko można było poznać i z mówienia ich, i z ubioru, że przyszli z Polzeczy. Dla jakiej przyczyny porzucili oni swój kraj rodzony i aż tu przywędrowali, zarówno niewiadomym było. Kiedy spotykający ich podczas ludzie pytali ich o nazwisko, odpowiadali, że przy chrzcie świętym nadano im imiona: Jan i Cecylia. A kiedy ktokolwiek chciał wiedzieć, dokąd i dla jakiej przyczyny wędrują, mówili: „Szukamy puszczy!” Widać było ze wszystkiego, że bali się jakiegoś pościgu i żądali skryć się przed ludźmi, a żyć tylko pod boskim okiem. Całej pewności co do tego nie ma, ale takie o nich chodziły głosy, że kondycja ich była nierówna, bo on był ciemnej twarzy i bardzo w sobie silny, tak jak to rzadko pomiędzy panami, a najczęściej w pospółstwie bywa, a ona, czy to szła, czy to stała, czy mówiła, czy milczała, wydawała z siebie pańską wspaniałość i piękność. Ale jak tam było z ich początkiem, wszystko jedno, dość że nietrudno znaleźli to, czego szukali. Cały tutejszy kraj zalegała podtenczas nieprzebyta puszcza, w której Pan Bóg nasiał co niemiara jezior błękitnych i łąk zielonych, a ludzie pobudowali troszkę osad, w których trudnili się sobie różną przemyślnością. W jednych miejscach, nad jeziorami lub nad rzeczułkami, siedzieli rybaki i bobrowniki; w inszych, tam gdzie stały lipowe lasy, pszczelniki miód i воск pracowitym zwierzątkom odbierali; niektórym król nakazał, aby dla niego hodowali sokoły, i od tego poszło, że nazywali się sokolnikami, a inszych wolnością obdarował, aby tylko wszelkie posyłki jemu sprawiali i dla tej przyczyny mieli oni nazwanie bojarów, czyli ludzi wolnych. O uprawianie ziemi było im bynajmniej; ogrody mieli, ale najwięcej rzepę w nich sadzili i len w wielkiej obfitości sieli, bo owiec nie mając i wełny nie znając, odzieży płótnianej tylko używali. Zboże zaś rzadko gdzie zobaczyć można było i to przy miastach, a w głębokiej puszczy jeszcze gdzieniegdzie nikt i nie słyszał o nim. Ale za to byli tacy, co w dębowych lasach żyjąc, trzody świń na żołędziach hodowali i od tego dane im było



brzydkie przezwisko świniarów, i tacy, co przy łąkach mieszkając, bawoły obłaskawiali i dla tej przyczyny nazywali się bawolniki. O pieniądzach to jeszcze gdzieniegdzie i nic nie wiedzieli, a jak kto chciał co sobie potrzebnego kupić, dawał skóry zdarte z ubitych bobrów, niedźwiedzi, lisów, kun i inszych zwierząt albo troszkę miodu i wosku, albo przyswojonego bawoła, karmną świnię i co tam zresztą kto miał. Chaty ich nazywały się numy i były bardzo biedne i smrodliwe, bez pieców i kominów, bo tym leśnym ludziom nieznamą jeszcze była mularka. W Boga chrześcijańskiego niby to wszyscy już uwierzyli, a jednakowoż w głębokościach puszczy wiele jeszcze kłaniało się bałwanom i żyło z kilkoma żonami. Jan i Cecylia wzdłuż puszczy przeszedłszy poznali różne jeziora i łąki, zachodzili do rybaków, do bobrowników, do sokolników i do bojarów, zachodzili także do świniarów i do bawolników, ale nigdzie im nie podobało się tak, jak tutaj, nad brzegiem tego Niemna, i na tym właśnie miejscu, gdzie teraz ten pomnik stoi... Widać zobaczyli, że tu najmniej ludzie doścignąć ich mogą, a najlepiej im będzie pod jednym boskim okiem pozostawać. Może już tak im było przeznaczone, ażeby właśnie ten kawał ziemi zaludnić i nasz ubogi, ale długowieczny ród ufundować.

— Podtenczas — zaczął znowu — nie było na tym miejscu żadnego kawałka zoranej ziemi ani żadnego ludzkiego plemienia. Z tej strony rzeki i z tamtej strony rzeki, na prawo i na lewo, naprzód i w tył, rosła jedna tylko puszcza. Jan i Cecylia upatrzyli sobie właśnie to miejsce, gdzie teraz ten pomnik stoi, a gdzie podtenczas stał dąb taki stary, co może i tysiąc lat miał wieku, bo w jego wydrążeniu bawoła skryć byłoby można, i pod tym dębem zbudowali sobie najpierwej chatę, czyli także numę bez pieca i komina, nędzną i smrodliwą. Od razu inszej zbudować nie mogli. Lepiej mówiąc, on zrąbywał drzewa, uprawiał kłody i budował, a ona zbierała orzechy i dzikie jabłka, gotowała rybę, doila bawolicę, którą on rychło sobie obłaskawił, naprawiała odzież, a gdy wieczór przyszedł i on położył się pod dębem, z oszczepem i łukiem napiętym przy boku, by zawsze od dzikiego zwierza się obronić, siadała przy jego głowie śpiewając i grając na harfie. Z wysokiego domu pewno była, bo po anielsku grała i śpiewała, i ręce z początku miała takie białe, by lilie. Ale krótko tego było, bo pracując ciężko, w niewygodach i niebezpieczeństwach straszliwych, prędko pociemniała na twarzy i rękach, wyrosła, zmężniała w sobie, że podobną stała się do płowej łani, której trudności i samotności leśne najmilsze. Jak pierwsza matka



ludzkiego rodu, miała ona podobno włosy złociste i takie długie, że pokryć nimi mogła siebie i swoją harfę: gdy też późnym wieczorem nad senliwym mężem śpiewała, on, choć senliwy, pieścił się z jej włosami, a potem o wschodzie słońka zdrowy i wesół do roboty wstawał, bo siły miał wzmocnione i serce pocieszone przez nią. Jednakowoż pomimo kochania i wszelakich jego rozkoszy nachodziły ich takie potrzeby i strachy, że inszym ludziom i pomyśleć o nich byłoby trudno. Wszystko tu było nie tak, jak teraz, ale okropniej i dziczej. Po puszczy chodziły stada żubrów, turów, niedźwiedziów, dzików i wilków, w gałęziach czaiły się drapieżne jastrzębie i krogulce, szerokimi skrzydłami łopotały krzywodzióbe orły. Nocami wyły puszczyki i po drzewach wieszały się rysie, w ciemności oczami jak latarniami świecące. Czasem kruki i kawki czarną chmurą zakrywały niebo, a dzikie konie napełniały zacisza leśne grzotem swoich kopyt i przeraźliwym wiżdzeniem. Nad rzeką i na wszelakich mokrych miejscach leżało się wielkie mnóstwo obrzydłych żab, tarakanów, węzów i jaszczurek. I rzeka ta nie była taka jak teraz. Głębinię i prędkość miała ogromniejsze. Wody były wtedy nadmiar silne i gniewliwe. Rozlewały się daleko i o ziemię biły, koryta w niej sobie prując, czego do dzisiejszego dnia te parowy pamiątką ostały. A po zimie, wiosenną porą, kry szły ogromne by stada koni dęba stojących albo szklane góry przez słońko, co się w nich przeglądało, tęczami nalane. Jak oni to wszystko znieśli i przemogli, Bogu świętemu wiadomo, dość że znieśli i przemogli. Już to jest pewne, że żaden człowiek siły swojej nie zna, nim jej w potrzebie z siebie nie dobędzie. Prawda i to, że wiele rzeczy i stworzeń podówczas człowiekowi do pomocy stało. Narzędzia do wszelakich robót i myślistw przynieśli z sobą albo różnym sposobem zrobili sobie, dobre i mocne. Las dawał dzikie jabłka, orzechy, jagody i grzyby; do rzeki po napój przybiegały jelenie, daniela i sarny, które ze stad wielkich łatwo ubijać było; u góry żył lud wiewiórek, a u dołu w gęstwinach skrywała się mnogość zajęcy, łasic i kun; w wodach mieszkwały wydry i bobry domki sobie budowały. A trzeba było tylko wędę, sieć albo oszczep w rzekę zanurzyć, ażeby z niej wyłowić tyle ryb różnych, jakich już teraz wcale ona nie ma. Do tego i lubości bywało tu nadmiar. Słowicze śpiewy umilały noce, a jaskółcze i gołębie gminy same przez się szukały przytułku pod dachem numy. Podczas ze sznura żurawi spadł jeden i łaskawie ostał już towarzyszem człowieka, podczas płochliwa sarna ugłaskać się pozwoliła, wiernie potem chodząc przy boku swej pani. Wszelako tam bywało: ciężko i mile, straszno i bezpiecznie. To tylko jest pewne, że nacierpieli się



oni nadmiar głodu, chłodu, strachu i zasypania najedli się do sytości; że wiele razy od upału i mrozu skóra z rąk i z nóg im zżarzyła, a od wiatrów i mrozu piekące bąble obsiadały ciała. Może dwadzieścia lat minęło im w tej męce, kroplami rozkoszy słodzonej, aż po puszczy puścili się pogłosy o tej parze ludzi, że przemysłowością swoją i krwawą pracą kawał duży lasu wyplenili, zboża nasieli i inszych różnych roślin nasadzili; że dom sobie zbudowali widny i czysty, z którego też dym przez komin wychodził; że nabyć u nich można niektórych takich rzeczy, których na szeroki okół nikt jeszcze nie miał. Poszli tedy do nich ludzie z różnych dalszych osad dowiedzieć się, jakże tam czyniły się takie cuda. A jak raz przyszli, to już na długo przy nich ostawali, przypatrując się różnym niewiadomym do tego czasu dziełom i przemysłom. Niektórzy prosili się, aby ze wszystkim już ostać przy nich dla wspólności i pomocy, ale Jan i Cecylia wprędce rodzonych doczekali się pomocników. Sześciu synów i sześć córek urodziło się im i wyhodowało nad brzegiem tej wody, w cieniściach tej puszczy, pod okiem jednego Boga. Jeden z tych synów pojął sobie żonę u rybaków, drugi ją wybrał pomiędzy sokolnikami, trzeciemu przeznaczenie dało bojarkę, czwartemu bobrowniczkę, piątemu pszczelarzkę, a szósty handlując rybami, do których łapania wielką miał ochotę, przywiózł sobie dożgonną towarzyszkę aż z miasta Grodna, które podówczas, dla przyczyny mnóstwa rosnących tam ogrodów, po rusińsku Horodnem zwano. Rusinką też dziewczka owa była, ale podówczas dwie krwie na jednej ziemi mieszkające nierzadko mieszały się z sobą i nie wynikała z tego nikomu żadna obraza ani ujma. Skąd synowie pojmowali żony, stamtąd przybywali mężowie dla córek i poślubiwszy je nie odjeżdżali nigdzie, tylko tu sobie budowali chaty, a tnąc las coraz dalej, uprawiali pola. Tak przeminęło lat osiemdziesiąt albo może i więcej od tego dnia, kiedy Jan i Cecylia pierwszy raz na tej ziemi nogi swoje postawili...

Głośniejszą trochę i żywiej niż wprzód mówił dalej:

— Osiemdziesiąt lat albo może i więcej przeminęło od tego dnia, kiedy Jan i Cecylia pierwszy raz na tej ziemi nogi swoje postawili. Aż jednego razu znaleźli się tacy ludzie, którzy samemu królowi donieśli, jakie to dziwne dzieją się gdzieś, w kraju litewskim, w najgęstszej puszczy nad samym brzegiem Niemna. Panował podówczas ostatni Jagiellon, dwoma imionami: Zygmunt i August nazywany.



Zapalczywy był on myśliwiec i właśnie w tej porze, kiedy mu to doniesienie zrobionym było, bawił się polowaniem w swoich knyszyńskich lasach. Zmiarkował zaraz, że od Knyszyna do tego miejsca, o którym jemu rozpowiadali ludzie, droga była nie bardzo daleka. Łowczym na apel zatrąbić, a panom jechać za sobą rozkazał i puścił się w drogę. Jechał i jechał, jechał i jechał, a panowie za największym z panów jechali, aż raptem zobaczyli jakoby koniec puszczy. Drzewa rzedniały i rozstępowały się, jakoby jadącym z drogi ustępując. Król pojrzał przez te szerokie otwory, krzyknął aż z zadziwienia i żartobliwie do panów swoich zawołał:

„Hej! hej! Waszmoście panowie, widzi mi się, że ktoś tu dla mnie nowe królestwo gotuje!”

Aż tu wszyscy wyjechawszy z lasu stanęli, oczom własnym wiary nie dając. Tam, kędy dawniej panowała dzicz drzewiasta, bezludna i głucha, srogim zwierzom tylko przytułek dająca, leżała wielka równina, żółtością ścierniska po zżętym zbożu pozostałego okryta. Na ściernisku, by wysokie domy lub też by słupy z pozwężanymi wierzchołkami, stały sterty wszelkiego zboża; sto par wołów orało pole pod przyszły zasiewek, a wśród pola na gładkich łąkach hasały stada obłaskawionych koni, pasły się trzody krów ryżych i białych owiec. Na dwóch pagórkach dwa wietrzne młyny łopotały swymi wielkimi skrzydłami, lipowe gaje rozlegały się od bączenia nieprzeliczonych rojów pszczelnych, a w olszynach i brzoźniakach na wszystkich gałęziach wisały wielkie jak czapki gniazda gawronie. Sto domów, przedzielonych ogrodami, sznurem wyciągało się w podłuż rzeki, a z ich kominów, by z kościelnych kadzielnic, sto złotych dymów podnosiło się prosto do nieba. Na jabłoniach i śliwach liście widać nie było za czerwonością i liliowością owocu, po zielonych trawach suszył się len i bielity się sztuki płócien, w chatach krosna stukwały i huczały terlice, przed domami na gałęziach i płotach wysychały ufarbowane przędzy wełny, a na dachach po stronach do słońca wystawionych dojrzewały żółte, ogromne dynie. Ptastwo domowe, ziemne i wodne, grzebało się w piasku lub z hałasem leciało nad rzekę, od której powracający rybacy wychodzili z gór, niosąc po kilku sieci i niewody z rzucającymi się w nich rybami. Co do rzeki, tej w dole płynącej, król z oddali zobaczyć nie mógł, ale rozpoznał, gdzie ona płynęła, po wysokiej piaszczystej ścianie, nad którą stał bór, przez nikogo nie ruszany.... ten sam!





— Tymczasem — mówił dalej — król jechał naprzód, oglądając się wokół i wesoło dziwiąc się wszystkiemu, co tu obaczył. Młody był podonczas i tylko co na tron swój wstąpił. Koń był pod nim arabski, ognisty, z rzędem kapiącym od złota i drogich kamieni. Nad czołem królewskim świeciło na kołpaku brylantowe pióro, a drogie purpury i gronostaje spadały z królewskich ramion aż prawie po końskie pętlice. Wokół niego i za nim jechali hetmany, senatory i insze panowie, a każdy z koni, które pod sobą mieli, piękniejszy był od drugiego, a od kolorów ich szat i drogocенności siodeł aż ćmiło w oczach. Za nimi jechali także sokolniki, na dłoniach trzymając zakapturzone sokoły, pieściwe pazie z różami na licach, hardonosa służba i bystrookie strzelce. A łowczowie złotne trąby wciąż do ust swych przykładali i rozgłośnym graniem rozgłaszali królewskie przybycie szerokiej równinie, długiemu Niemnu i aż zaniemeńskim głębokościom boru... Jako też ze stu domów i ze stu ogrodów, z pola, z łąk, z rzeki pozbiegali się wszyscy ludzie patrząc na niewidziane rzeczy i nie lękając się prawie, tylko podziwiając i oczekując: co z tego będzie? A król ich zapytuje:

„Czy żywie jeszcze rodziciel was wszystkich?”

„Żywie i w zdrowiu przebywa” — odpowiedział najstarszy syn Jana i Cecylii, który przed króla wystąpił, sam zmarszczkami całej twarzy i siwy jak gołąb.

„A rodzicielka czy żywie?” — pyta znów król.

„Żywie i w zdrowiu przebywa”.

Król podonczas rzekł:

„Rad bym na nich pojrzał!”

Wedle królewskiego żądania wnet stać się musiało. Z najpiękniejszego domu synowie i córki, wnuki i prawnuczki wyprowadzili parę rodziców. Więcej niżli stuletnie te starce szli same przez się, niczyjej pomocy nie potrzebując, w śnieżystych płótnianych sukniach, by dwa białe gołębie, jedno przy drugim. On opierał się na toporze w długim kiju oprawionym; ona zsiwiałe włosy po pas rozpuściwszy, głaskała biegnącą przy niej sarenkę. Kiedy już wobec króla stanęli,



wszyscy zdumieli się, bo król kołpak swój zdjąwszy z głowy, powiał nim przed starcami tak nisko, że aż z brylantowego pióra sypnęły się gwiazdy.

„Kto ty, starcze? — zapytał Jana — odkąd przyszedłeś? Jak zowiesz się i z jakiej kondycji pochodzisz?”

Starzec, jak przystało, pokłoniwszy się królowi, śmieie odpowiedział:

„Przyszedłem tu od stron onych, którymi przepływa Wisła; nazwisko swoje oznajmię tylko jednemu Bogu, kiedy przed świętym sądem Jego stanę, a kondycja moja niską była, pokąd do puszczy tej nie zaszedłem, gdzie wszystkie stworzenia są zarówno dziećmi powszechnej matki ziemi. Z gminu pochodzę i pospolitakiem na ten świat przybyłem: ale oto ta pani i małżonka moja z wysokiego domu zstąpiła, aby moje wygnańcze życie podzielać”.

Odpowiedź tę posłyszawszy król myślał długo, aż odwróciwszy się do panów, co wokół zgromadzeni byli, rzekł:

„Dufam, że waszmościowie uprzejmię pochwalicie, a przyszły sejm sprawiedliwie zatwierdzi dekret, który zaraz chcę tu ogłosić”.

Panowie myśl królewską odgadując i potakując głowami razem krzyknęli:

„Inaczej nie może być, miłościwy panie! Sami tego żądamy i o to waszą królewską mość upraszamy”.

Wtedy król odwrócił się do Jana:

„Ty starcze, wedle własnego żądania bezimiennym останiesz i jakieś się urodził, tak w grobie legniesz pospolitakiem. Ale żeś był bohaterem mężnym, który tę oto ziemię dzikiej puszczy i srogim zwierzom odebrał, a zawojowawszy ją nie mieczem i krwią, ale pracą i potem, piersi jej dla mnogiego ludu otworzył, a przez to ojczyźnie bogactwa przymnażając, przeto dzieciom twoim, wnukom i prawnukom, aż do najdalszych pokoleń i samego wygaśnięcia rodu twego, nadaję nazwisko od bohaterstwa twego wywiedzione”.



Tu z prawicą wyciągniętą nad zdumiałym ludem król donośnym głosem wypowiedział:

„Oto ten ród, idący od człowieka z kondycji pospolitego urodzenia, idzie w porównanie ze szlachtą rodowitą krajową i wszystkich praw stanowi rycerskiemu odpowiednich odtąd aż do wygaśnięcia swego używać ma i takowe wykonywać. Nobilituję was i nakazuję, abyście nosili nazwisko Bohatyrowiczów, a pieczętowali się klejnotem Pomian, który jest żubrzą głową na żółtym polu osadzoną, jako pierwszy rodziciel wasz pokonał żubra i z odwiecznego jego siedliska uczynił to wdzięczne i obfitością ciekące pole...”

W tym miejscu umilkł opowiadający; wyprostowana teraz postać jego z wielką czapką na tył głowy nieco zsuniętą wypukle odrzynała się od wysokiego złomu kamienia. Rękę w górę podnosił i słychać było, jak szeroko i głośno oddychał. Po chwili wymówił jeszcze:

— Działo się to w roku, na tym pomniku wypisanym, tysięcznym pięćsetnym czterdziestym dziewiątym...

Na zachodzie, nad borem, gasły pozostawione przez słońce pasy świetliste; zmrok sunący od wschodu z wolna obejmował całe sklepienie, na którym tu i ówdzie zabłyśły nikłe gwiazdy. W zmroku naprzeciw umilkłego Anzelma widać było dwoje ludzi siedzących blisko siebie, pomiędzy cienkimi sosnami, na pniu obalonego drzewa. Kobieta opuściła ręce na kolana, mężczyzna twarz oparł na dłoni. Słuchali jeszcze, czekali. Po chwili też człowiek na kamieniu siedzący ozwał się znowu:

— Taka jest historia fundatorów naszych, taki nasz tutaj początek i oto dla jakiej przyczyny my na tej ziemi siedzimy.

Potem głosem człowieka, który w głębi pamięci swojej budzi drzemiące wspomnienia, mówił jeszcze:

— Wszelako późniejszym czasem w tym naszym rodzie przez Jana i Cecylię ufundowanym różnie bywało. Włości nie mieliśmy nigdy i krwi ani potu z nikogo nie wyciskali. Bywało, że niektórzy z nas na wojnę chodzili; bywało, że za panami z



gardłami i szabelkami na sejmiki i sejmy ciągnęli. Jeden i drugi przebywał na pańskich dworach, o urzędnikowskie lub oficjalistowskie posady zaskakując. Jeden i drugi fortuny przyrobiwszy, gdzie daleko na osobnym folwarku siadał i pański już ród fundował. Ale najwięcej i tak jak prawie wszyscy, siedzieliśmy w swoich zaciszkach, własnymi rękami od matki naszej powszechnej chleb dobywając. Szmaty ziemi, by Chrystusowe szaty, rozdzielały się wciąż pomiędzy nami, a podczas, zrzędzeniem boskim albo niedobrym charakterem ludzkim, wcale przepadały. Jednakowoż po większej części trwaliśmy przy swoich gnieździech większych czy mniejszych i dotrwaliśmy do tej pory. Teraz szlachectwo przedziadów zdjęte z nas zostało; chłopami nazywamy się i jesteśmy... Ale o to bynajmniej. Wszyscy my kołki jednego płota i stworzenia czasowe. Bieda jedynie, że ubóstwo nasze rośnie i duszne zamroki ogarniają nas coraz większe...

Trząśł głową.

— Nikt prawie nie da wiary, że i tę historię fundatorów naszych w całej okolicy umie może trzech, może czterech ludzi. Umie ją stary Jakub, ale on już jest tak jak prawie nie żyjący; umiem ja, umiał kiedyś Fabian, umie może ten młody Michał, co tam stał wystrojony, z wąsami do góry. Insze o takie rzeczy nie dbają i w biedzie, w zasępie pamięci o nich mieć nie mogą... Chłopami być czy panami, to za jedno; ale w bydlę obrócić się, to smętnie i tęskno...

Widać było, że zgarbił się znowu i że głowa jego z wielką czapką oderwawszy się do kamiennego złomu pochyliła się nisko. Powolnym, zamyślonym szeptem dokończył:

— Szczęście wywyższa, szczęście poniża, wszystko na świecie czasowe i przemijające... każda rzecz by woda przepływa, by liść na drzewie żółknie i gnije...

Z obalonego pnia drzewa powstała kobieta i szybko zbliżywszy się ku zasmuconemu, pochyłona, usta swe przyłożyła do szorstkiego rękawa jego kapoty.

— Dziękuję! — wymówiła gorącym szeptem.



On cofnął ramię, w tył się uchylił i przez chwilę w milczeniu na nią poglądał.  
Potem jękając się, ze zdumieniem wymówił:

— Do... do... dobra!”